

## Kurze trupy w walizkach

Orzech pochodził z Rębiechowa – mikroskopijnej wioski, położonej opodal mojego miasta rodzinnego (miałem nawet podejrzenia, że wioska ta składała się z tylko dwóch gospodarstw...). Czyli wszystko działo się w południowej Wielkopolsce. Jego matki nie poznałem, wiem tylko, że była duża i niezwykle dobra. O gospodarstwie, w którym mieszkał jego ojciec, powiedzieć, że było egzotyczne, to w zasadzie nic nie powiedzieć. W piwnicy mieszkała ropucha. Królik, który wybrał wolność, jadł z jednego korytka z kurami, a indyki spędzały noce na drzewach. Swoista harmonia życia. Orzech, jak tylko pojawił się na horyzoncie jakiś wolny dzień, zaraz zabierał się i urządzał wyprawę do Rębiechowa. Był człowiekiem towarzyskim i praktycznym. Zatem zawsze namawiał kogoś na wypad, pod pretekstem, że się przyda do pomocy, a w drodze będzie można sobie pogadać. Były to czasy, w których studenci

z duszpasterstw chętnie rozmawiali o życiu, a do tego lubili być potrzebni, choć muszę przyznać, że pociągała nas także egzotyka tych wypraw.

Wieczór był mroźny. Zalegał śnieg. Adwent wchodził w swą drugą fazę. Późnym wieczorem wyruszyliśmy. Nie mogłem się nadziwić temu, co wypatrzyłem na Orzechowych nogach. Potężna postać, ważąca ponad 150 kg, wyrastała z czarnych, wysoko sznurowanych, ewidentnie damskich butów na obcasie. Takich, jakie mają kobiety w zespołach ludowych.

- Co to? – spytałem w drodze na dworzec, wskazując na buty.

- Buty – odparł, jakby nigdy nic.

- Obrabowałeś jakiś magazyn z kostiumami?

- Czemu? – zachnął się. – To po matce.

- Po matce? – powtórzyłem z niedowierzaniem. – Nie są za małe?

- Trochę są – przyznał. – Ale swoje gdzieś posiałem, jakby diabeł ogonem nakrył. Nie miałem wyjścia. Dam radę, niech cię o to głowa nie boli. Niestety, są mało przyczepne, wręcz śliskie.

I faktycznie, co chwilę robił jakieś makabryczne piruety, ale dzielnie trzymał się na nogach.

Pociąg dotarł do Kobylina po północy. Do ich gospodarstwa było kilka kilometrów. Powietrze czyste, mroźne. Jasny księżyc rozświetlał okolicę. Zimowe piękno płaskiej Wielkopolski w całej krasie. Musiałem do lasu za potrzebą. Orzech nie czekał. Ledwo kuśtykał w tych przyciasnych butach.

Szedłem po jego śladach z wyraźnie odcisniętym obcasem. Ale, ale, w pewnym momencie ślady się zmieniły. Odcisk z obcasem zniknął, a w jego miejsce pojawiło się odwzorowanie bosej stopy słusznego rozmiaru.

Po przybyciu na miejsce Orzech natychmiast wytropił, że jedna z owieczek właśnie się okociła. Dwa maleństwa przyszły na świat tej mroźnej nocy. Jedno sprytnie, szybko cycusia dopadło, a drugie gapcia. I ono ledwo zipało, leciało przez ręce. Było wychłodzone. Orzech podał mi je z instrukcją:

- Rozepnij kurtkę, podciągnij sweter i połóż je sobie na brzuchu – wybałuszyłem na niego oczy. – No, co się tak gapisz? Rozgrzej je.

Oczyściłem z grubsza maleństwo sianem i posłusznie umieściłem na sobie. Poczułem jak mój organizm wchłania lodowatą wilgoć. Dreszcze przeszły mi po plecach, ale maleństwo chłonęło ciepło i życie weń wracało. Po chwili zaczęło pyszczkiem szukać sutka.

- Wraca do siebie – oznajmiłem tryumfalnie.

- Wydój kozę... Tam jest butelka ze smoczką, daj mu – zakomenderował zwięźle.

Zrobiłem wszystko zgodnie z instrukcją. Maleństwo piło łapczywie ciepły napój. Aż nagle zakrztusiło się, pokasało i zdechło.

- Zakrztusiło się – oznajmiłem. – Zdechło – dodałem.

- No cóż – wymamrotał Orzech. Tak bywa. Zdejmij skórę.

- Co takiego? – zapytałem z niedowierzaniem.
- Zdejmij skórkę.
- Orzechu... – przerwałem. Spojrzał na mnie groźnie, więc powiedziałem rzeczowo:
  - Toż to karakułek. Po co ci taki mały karakułek? Chwilę się zastanawiał.
  - Beret sobie zrobię – popatrzył groźnie. – Ściągaj, nie dyskutuj, bo jak wezmę łagę<sup>5</sup>... A poza tym – dodał z uśmiechem – mięsko przednie, będzie na jutro na obiad.

Niewiele czasu zostało na spanie po oprawieniu maleństwa, a skórka faktycznie śliczna i delikatna.

Z samego rana Orzech zarządził rzeź niewiniątek.

- Odcinaj łeb wszystkiemu, co ci wpadnie pod rękę – rozkaz był jasny, czytelny i prosty.

Za tymi działaniami krył się ambitny plan, aby obdarzyć na święta Bożego Narodzenia rodziny wielu wrocławskich więźniów politycznych odsiadujących swe wyroki. W tych dniach zdobycie jakiegokolwiek żywności, szczególnie w dużych miastach, nastęczało nie lada trudności. Kura, gęś czy kaczka prosto ze wsi stanowiły istny rarytas.

Po blisko godzinie podwórko tonęło we krwi, a co kilka kroków leżał ptak bez głowy.

- Dobrze, świetnie – cmokał Orzech. – A teraz bierzemy się za patroszenie i skubanie.

---

<sup>5</sup> W gwarze wielkopolskiej okolic Kobylina „łaga” oznacza kawał solidnej laski albo kija.

Po kilku godzinach piętrzył się przed nami stos oprawionego drobiu, a dom wypełniał swąd pypci<sup>6</sup> opalanych nad kuchenką gazową. Nastąpiło pakowanie, upychanie kurzych trupów po zdezelowanych walizkach, wydlubanych z ostatnich zakamarków domu. Jedna z nich z pewnością pamiętała poprzednią wojnę światową. Okazało się, że jeszcze dwie torby pozostały wolne. Ale czas uciekał. Trzeba było zbierać się na autobus do Krotoszyna. Tam przesiadka i pociągiem do Wrocławia. Byliśmy gotowi do wyjścia. Orzech złapał jednak za siekierę i jeszcze urąbał głowy trzem gęsiom. Gdy pakował je do torby, rozkazał, bym jeszcze złapał dwie kaczki.

- Weźmiemy je żywcem – postanowił.

Gdy patrzę na to wszystko z dzisiejszej perspektywy i w kontekście *Laudato si*, mina mi rzadnie i nawet szlachetny cel wykarmienia rodzin więźniów politycznych nie do końca mnie przekonuje, ale rzeczywiście w tamtych latach z jedzeniem było krucho i własny drób był prawdziwym skarbem.

Na szczęście brat Orzecha podjechał traktorem i wrzucił na przyczepkę niebotyczne pakunki. Biegliśmy za nim truchtem. Pierwsze problemy zaczęły się w autobusie. Siedzieliśmy na samym końcu. Torba z kaczkami otworzyła się i dwa ptaki przeleciały przez cały pojazd i wylądowały na przedniej

---

<sup>6</sup> W Wielkopolsce tak nazywa się resztki piór, które zostają po oskubaniu drobiu.

szybie. Kierowca popatrzył jakby nigdy nic i powiedział spokojnie:

- Panie, zabierz to!

Posłusznie złapałem szamoczące się ptaki i umieściłem w torbie. Siedziałem, podziwiając płaski krajobraz i w duchu odmawiałem najbardziej żarliwe modlitwy, by w moim rodzinnym mieście w czasie przesiadki, broń Boże, nie spotkać nikogo ze znajomych, o rodzinie nie wspominając. Orzech paradował ponownie w butach na obcasie. W nocy trochę je rozbił i upierał się, że teraz są w sam raz.

Obmyśliłem plan. Wiedziałem że w pociągu może być tłok. Znałem to połączenie. Ale był też wagon z pierwszą klasą, zwykle świecił pustkami. Kupię bilety na pierwszą klasę i znajdziemy jakiś wolny przedział. Oznajmiłem to Orzechowi, a on w lot złapał zasadniczą ideę konceptu.

Przesiadka się udała. Z wielkimi tobołami przeciskaliśmy się przez wąski korytarz pierwszej klasy. Nie wierzyłem. Pech nie do opisania. W każdym przedziale siedziała jedna osoba. Dosiedliśmy do człowieka pogrążonego w lekturze. Obrzucił nas obojętnym spojrzeniem, ale gdy zobaczył nasze bagaże i buty Orzecha, w miejsce obojętności pojawiło się zainteresowanie podszyte obawą. Po chwili poczuł nasz zapach. Mimo mrozu uchylił okno. Orzech padł zmęczony i zaraz zasnął. Rozległo się nieprzeciętne chrapanie. Na dodatek miał on świeżo zrobioną górną szczękę, która, kiedy zasypiał, wypadła z otwartych ust. On łapał ją gdzieś



na brzuchu i, nie budząc się, wkładał z powrotem do ust. Człowiek z gazetą nie był zdumiony – był przerażony. Tymczasem na łysinie Orzecha pojawiła się czerwona kropka, po chwili druga i trzecia. Kopnąłem go mocno. Obudził się. Pokazałem mu na czoło. Przetarł ręką, popatrzył:

- Toż to juszka – stwierdził z rozbawieniem i obliżał rękę. – O, tu torbę trzeba poprawić. Z gęsi ścieka. – Poprawił.

Mężczyzna patrzył z niedowierzaniem. I właśnie wtedy poruszyła się druga torba. Tak sama z siebie, a dokładniej mówiąc, uczyniły to zamknięte w niej kaczki. Mężczyzna zerwał się na równe nogi i krzycząc: „Mój Boże!”, uciekł z przedziału. Orzech popatrzył na mnie uśmiechniętymi oczyma. Skwitował:

- Wariat. Jak Boga kocham, wariat! – i zaraz zasnął, chowając wcześniej sztuczne zęby do kieszeni spodni.

Nawet nie przyszło nam do głowy, aby przeprosić naszego współpasażera.